

Nie zawstydzajmy dzieci

Już dawno tak nie współczułam dzieciom jak w tym roku na polskim wybrzeżu. Wyśmiewanie, grożenie i zawstydzanie są na porządku dziennym. Najbardziej boli mnie zawstydzanie – pisze Brygida Helbig.

Właściwie chciałam napisać dzisiaj o wakacjach, o tym, dlaczego tak lubimy patrzeć na morze, o tym, że zanurzając się w nim, zanurzamy się jednocześnie w najgłębszym wymiarze naszej egzystencji, głębszym niż odgrywane przez nas role społeczne, niż indywidualne ego. Tam już nie ma walki, konkurencji, tam możemy odpocząć. O tym chciałam pisać, lecz ze stanu błogości nad polskim wybrzeżem wyrywa mnie wciąż rozpaczliwy krzyk małych dzieci i domaga się nagięcia tematu do ich problemu. Już dawno tak nie współczułam dzieciom (całkowicie przecież zdany na łaskę i niełaskę opiekunów) jak w tym roku w nadmorskim kurorcie. A to rodzice besztają nucącą sobie w restauracji coś tam pod nosem dziewczynkę, że “tak się nie śpiewa”, a to grożą innemu drącemu się w niebogłose szkrabowi, że jak nie da się w końcu posmarować kremem, to dostanie udaru i wyląduje w szpitalu. Jakby nie można było wyrazić tego jakoś pozytywniej lub odwrócić uwagę pociechy od spornej kwestii.

Wyśmiewanie, grożenie i zawstydzanie są tu na porządku dziennym. Najbardziej boli mnie zawstydzanie. Do rozpaczliwie płaczącego chłopca, na którego spojrzałam ze współczuciem na deptaku, ojciec buchnął na cały głos: “Przestań ryczeć, ludzie już patrzą na ciebie i się z ciebie śmieją!” Trudno i niezręcznie jest zwracać uwagę rodzicom, że niewłaściwie wychowują swoje dzieci, ale żałuję bardzo, że nie wtrąciłam się dyskretnie w tym miejscu, że nie sprostowałam: „Nie, nikt się nie śmieje, bo niby dlaczego?” Przegapiłam moment, a może stchórzyłam, poszłam dalej. Dlatego chyba piszę ten felieton... **Piszę z apelem, abyśmy (na litość boską) nie zawstydzali swoich dzieci. Zawstydzają się w naszej kulturze i dziewczynki, i chłopców, każdą płęć trochę inaczej.** Dziś będzie bardziej o chłopcach. O tym, jak bardzo im szkodzimy, zakazując pod groźbą wstydu okazywania uczuć, które interpretujemy jako słabość. Później, gdy są dorośli, mamy do nich (w każdym razie do tych, którzy *dali* się wychować), pretensje, że noszą pancerz, że nie mamy dostępu do ich wnętrza, że wypierają uczucia i wypierają się uczuć - zwłaszcza takich jak smutek, rozpacz, zazdrość, czy lęk. Mamy żal, że trudno o prawdziwszy kontakt z nimi (albo niektórymi z nich). Oczywiście, rozumiem, że intencje rodziców zwykle są dobre. Wstydzają się za swoje dzieci, bo sami zostali wychowani metodą zawstydzania. Spacerując promenadą z dzieckiem nie są tak naprawdę przy dziecku, lecz wciąż zerkają kątem oka na innych. Zdradzają dziecko już na początku jego życia. Tak wychowane dzieci zdradzają później same siebie. Swoje uczucia, pragnienia, swoją istotę. Zawsze są na zewnątrz siebie, zawsze pilnie badają spojrzenia i opinie innych. Aż któregoś dnia żmudnie skonstruowana fasada zaczyna się kruszyć, a choroby, czy sny zaczynają im opowiadać ich wypartą historię, przypominać, że są kimś innym niż tylko funkcjonującym robotem, spełniającym różne zewnętrzne oczekiwania. Pytanie tylko, kim... Pomyślmy sobie o tym nad morzem. Pozwólmy falom emocji podejść bliżej, poczujmy je, a potem znowu dajmy im rozplynać się w wielkiej wodzie, które zawsze przypominać nam będzie nasz prapoczątek – tę wielką, głęboką pra-ciszę, z której się wywodzimy, którą mamy także gdzieś w środku, do której wracamy w medytacji, i z której możemy czerpać więcej siły i pomysłów na naszą tożsamość, niż z nieustannych zabiegów o uznanie i akceptację w świecie zewnętrznym.